TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI
KOŁA • PISARZY • Z • POLSKI

Rok II. Nr. 7 151 East 67 Street, New York, N.Y. 12.II.194

"...I zobaczę miasto Lwów!"

"Perłą w koronie Rzeczypospolitej" zwano niegdyś miasto na uro - dzajnych południowo-wschodnich ziemiach Polski, gród któremu conajmniej raz w stuleciu przypadał w udziale zaszczyt przypieczętowania krwią swojej polskości. Znały go jako twierdzę nie do zdobycia hordy tatarskie i kozacka tłuszcza.

Nie było i nie jest to jedyne oblicze miasta, które zasłużyło sobie na rycerski przydomek "semper fidelis" i order Virtuti Militari. Było surowe i uroczyste jak renesansowe mury katedry, w której Jan Kazimierz składał historyczne śluby. Barwne urokiem wschodu, przepychem ormiańskic jarmarków i bogactwem domów mieszczańskich, kolorytem wąskich kamiennych uliczek i wspaniałą zielenią pagórków, strojnych w winnice. Roztańczone i rozśpiewane w takt szlacheckich kuligów z XVII wieku i melodyjnej piosenki trubadurów łyczakowskiego przedmieścia. Wesołe szerokim uśmiechem bujnego kresowego miasta i beztroskim humorem batiara z Lewandówki, który po nocnej hulance sam jeden rozbrajał trzech austrjackich żandarmów, gwiżdżąc "bom ja hojrak jakich mało", a potem tradycyjnie wstępował na ranną mszę do Dominikanów i bił się w piersi, żałując za grzechy.

Ale przedewszystkiem Lwów był polski, Sienkiewiczowsko polski. I to było jego właściwem obliczem na przestrzeni wielu stuleci, w któ - rych niejednokrotnie był przedmiotem przetargów. Może właśnie te przetargi zahartowały rogatą duszę i twardą rękę Lwowianina, który - zniecierpliwiony - sam rozstrzygał o swoim mieście i błyskawicznie z właściwym sobie temperamentem stawiał swych niezdecydowanych, chwiejnych sympatyków przed faktem dokonanym. Historja to nawet niedawna... Każdego z nas -gdy chodzić zaczynał- prowadził ojciec na Rynek, pokazywał "Czarną Kamienicę" kulę turecką, zawieszoną na katedrze, arsenał na Podwalu, kaplicę Boimów, cerkiew Wołoską, Ossolineum, teatr Skarbka, Wysoki Zamek.. Każdy kamień, każda ulica miała swoją kilkuwiekową wymowę faktów, majestat polskości, wywalczony ogniem i mieczem, ofiarą i trudem wojennym Wiśniowieckich i Grozwayerów. W dwadzieścia lat potem zwiedzaliśmy z ojcem inne pamiątki. Cytadelę, ulicę Boma, szkołę Sienkiewicza, Persenkówkę, Cmentarz Orląt Lwowskich...

A niedawno w moich oczach płonął Dworzec i artylerja niemiecka biła w kościół św. Elżbiety na górze miasta.

Od tego czasu minęło trzy lata. Lwów przeżył znów dwie wojny.

Wiadomości o jego losie są więcej niż skąpe. Tylko z dalekiej Szkocji dochodzi nas o nim wspomnienie Budzyńskiego, wizja lwowskiego poranka w mgle:

"Idą przez miasto - mój Lwów jeszcze śpi,
Jest dziwnie szaro... mgła jesienna pada...
Nad zamkiem pierwsze słońce krwawo tli
Bernardyn rannym dzwonem się rozgadał...
Idę przez miasto - jedyne na świecie
A idę z trudem, słyszę własny krok
Już w Parku Stryjskim z drzewa liście leci,
To już jest jesień - to już inny rok!
Idę przez miasto - coraz śpieszniej, śpieszniej
By mi nie zbladło, nie przepadło w mgle:
Pozostań przy mnie - to jeszcze zawcześnie,
Uwierz mi Lwowie... że bez Ciebie źle!...
Stoję wysoko - miasto mgła zasuwa
Jeszcze nie wierzę... myśl się jeszcze łudzi...
W kamienną wizję mój Lwów się zakuwa
Ale gdy przyjdzie pora - Lwów się zbudzi.

- - -

O tym dniu, dniu przebudzenia z tragicznego letargu, porze bliżej nie określonej jeszcze koleją wojny niespodzianek, marzy każdy, dla którego ruiny i cmentarze Lwowa, dawne i świeże, zachowały na zawsze swoją wielkość. Wielkość miasta potężnego tradycją Wiśniowieckich i Grozwayerów, Mauzoleum Orląt i kościoła Elżbiety. Miasta, które niejednokrot nie było przedmiotem przetargów, ale które samo rozstrzygało o swoim losie, stawiając swych chwiejnych sympatyków przed faktem dokonanym.

Jerzy Tepa

Podanie z Obidowej.

Góry nasze są wierne, muszą stać, więc stoją,
A jednak błądzi po nich i przenika wszędy
Jakiś duch, który młodość zaczarował moją,
Jakiś szept, który krąży w podziemiach: legendy.

Skąd się wzięły i poszły przez kraj - któż odgadnie
I kto powie jak rosła potęga ich sławna?
Żaden krok się, w ruinach, nie odzywa na dnie
I szczęku w górskich kuźniach nie słychać oddawna.

A jednak był ktoś pierwszy, kto siał leśne mity
I w podróże je wysłał po wiekach pielgrzymie,
Zaczął iść od Dunaju, wstępował na szczyty
Aż, jak skarb, w naszej ziemi zakopał swe imię.

Było to dawno temu, zamierzchłemi czasy,
Gdy żył pewien poeta na wygnaniu w Tracji,
Który polubił drzewa, chodził często w lasy
Słuchać liści dębowych i słodkiej akacji.

Od możnych świata zaznał dość w życiu goryczy
Lecz wybrał leśne pustki, nie kielich cykuty,
Szedł i czekał aż serce rytm słowom odliczy
I płynął z pól wołoskich poezją przez Kuty.

Sława jego szła za nim po lasach, po górach,
Powój ją powojowi, liść liściom podawał,
Jeleń niósł ją na rogach, sęp trzymał w pazurach
I wiatry z nią tańczyły w zimowy karnawał.

I tak szedł zaświatowy po ogromnych światach
I choć wiersze swe mówił nieznanemi słowy,
Rozszedł się i rozpylił po całych Karpatach
I tak dotarł Owidjusz aż do Obidowej.

A że chadzał sam tylko i w każdy zakątek
Patrzył obłoki biorąc za świadków i posłów,
Niewiele ocalało tu po nim pamiątek
Lecz nie przeminie jedna, najdroższa: źródłosłów.

Wzięła ziemia to imię, schowała do głębi,
Nie szukajcie go nigdzie, skarb dobrze ukryty...
Czasem tylko w snach krąży i z dzikich gołębi
Leci piórem pomiędzy mgły, zjawy i mity.

. . . .

Oto cała legenda. Daję głowę moją,
Że Owidjusz był u nas, choć przeczą uczeni.
Spytajcie gór, są wierne, na straży jej stoją,
Powiedzą wam wieczora jakiegoś, w jesieni.

Kazimierz Wierzyński

Witold Hulewicz.

Znów jedna z tych licznych wiadomości, ujęta lakonicznie jak komunikat wojenny. W nocy z dnia 12-go na 13-ty czerwca został rozstrzelany w więzieniu warszawskim Witold Hulewicz. Ileż bólu bezsilnego i rozpaczy ludzkiej tkwi w oschłym skrócie tych niewyszukanych słów komunikatu. W gradzie kul siepaczy niemieckich zgasło życie bogate i nienasycone, spragnione bujności i piękna, ale równocześnie zdolne do ofiary w imię godności ludzkiej i tegoż właśnie piękna. Przed oczyma staje obraz nie do zniesienia straszliwy. Widzę męskie rysy jego twarzy, bladej i steranej bólem niewypowiedzianym, a równocześnie zaciśnięte wargi, znieruchomiałe w czujności, by z nich nie uleciała pogarda i wyraz dumy. Widzę jego matkę, pochyloną staruszkę, która życie całe wypełniła miłością do syna bez granic, a którą u schyłku jej życia Bóg doświadczył nieodgadnionym wyrokiem, każąc jej przeżyć potworną śmierć uwielbianego chłopca. Tak dokonała się jedna z ofiar, a zgrozę i ogrom jej sensu, przesłoniętego milczeniem oddalenia, uświadamia nam druga wiadomość, że brat tragicznie zmarłego Jerzy Hulewicz, artysta malarz i znany wydawca pisma literackiego "Zdrój" umarł tknięty paraliżem serca na wiadomość o śmierci Witolda.

Życie Witolda Hulewicza było wypełnione walką i entuzjazmem dla

sztuki. Urodzony w wielkopolskim domu ziemiańskim, odziedziczył po przodkach głębokie i rzetelne umiłowanie kraju i jego kultury. Już w młodości brał udział w konspiracyjnej pracy młodzieży polskiej. Wcielony w czasie wielkiej wojny do armji niemieckiej, przebywał dłuższy czas we Francji i w Rosji. Wkońcu uciekł do Poznania, gdzie jako członek tajnych organizacji bojowych brał udział w powstaniu wielkopolskim. Po wojnie polsko-bolszewickiej poświęcił się literaturze i dziennikarstwu. Poraz pierwszy wystąpił jako poeta na łamach tygodnika literackiego "Zdrój", którego był współredaktorem. Po kilku latach przeniósł się do Wilna, gdzie jako dyrektor rozgłośni Polskiego Radja zasłynął śmiałą i pełną zapału działalnością pionierską w dziedzinie wprowadzenia poważnej literatury do radjofonji, a szczególnie nowej formy dramatu słuchowego. On to był twórcą popularnych później terminów radjowych, jak "słuchowisko", "rozgłośnia" lub "teatr wyobraźni". W Wilnie, do którego przylgnął całym sercem, rozwinął Hulewicz energiczną akcję społeczno-kulturalną. On to był założycielem słynnych śród literackich w klasztorze Bazyljanów, które przez kilka lat były ośrodkiem życia kulturalnego nietylko Wilna, ale całych kresów wschodnich Polski.

Witold Hulewicz wydał kilka tomików poezji, wśród których chyba najpiękniejszy jest zbiór wierszy o Wilnie. W tomie tym wyraził swoje tkliwe przywiązanie do duszy tego miasta poetów. W strofach, pełnych szlachetnego piękna, wyczarowywał obrazy czcigodnych zabytków historycznych, - sędziwych, patyną i odwieczną ciszą zamglonych zaułków, kościołów barokowych, pochylonych murów i szkarp i tego niewysłowionego czaru nieba wileńskiego, co w tak jedyny i odrębny sposób błękitnieje nad szmaragdowemi wzgórzami srebrzystej Wilji. Po matce swojej przejął wielkie ukochanie muzyki. Grywał na fortepianie bez szczególnej biegłości technicznej, ale zato z delikatną subtelnością wyczucia utajonej poezji tonów, ze skromnością bezinteresownego wielbiciela nadziemskich światów i mistycznego piękna muzyki. W tomie poezji pod tyt."Sonety instrumentalne" próbował znaleźć wyraz poetycki dla swoich rojeń muzycznych. Jego dziełem życia jest wyczerpująca monografja o Beethovenie, w którym w sposób niezwykle oryginalny interpretuje genjusz twórczy tego potężnego kompozytora. Był pozatem tłumaczem licznych dzieł poetyckich z literatury niemieckiej i francuskiej. Jego ulubionym poetą, z którym utrzymywał stosunki przyjaźni i którego wiersze przekładał, był Rainer Maria Rilke. Przedziwny urok jego wierszy i głęboki, religijny mistycyzm oraz całkiem niepowtarzalna wyobraźnia obrazowa stanowiły dla tłumacza polskiego trudność zdawałoby się nieprzezwyciężoną. Hulewicz przełożył jego "Księgę Godzin" poprostu świetnie. Pamiętam dobrze, jak dbały był o wierność poetyckiego przekładu, ile wysiłku i troski wkładał w każde słowo i w dobór każdego dźwięku, by przenieść choćby w przybliżeniu nieodgadnioną duszę oryginału w krainę mowy polskiej. Rainer Maria Rilke, ten przedziwny poeta, który pisał po niemiecku, a z ducha łączył w sobie kulturę francuską z słowiańską uczuciowością, fascynował Hulewicza całe życie.

W ostatnich latach mieszkał Witold Hulewicz w Warszawie, skąd kierował programami literackimi wszystkich polskich rozgłośni radjowych. Dzięki jego niezmordowanej pracy i rzetelnej kulturze, audycje literackie Polskiego Radja były coraz świetniejsze. W ciągu kilku lat udało mu się pozyskać współpracę wszystkich najwybitniejszych pisarzy polskich, którzy przedtem niechętnie i z niedowierzaniem odnosili się do radjofonji jako środka popularyzowania literatury pięknej. Słynna była jego radjofonizacja djalogów platońskich, którą na żądanie publiczności powtarzano dosłownie kilkadziesiąt razy. Jego to entuzjazm i młodzieńczy optymizm wywołał jedno z najdziwniejszych zjawisk w Polsce, że boski myśliciel grecki powędrował pod strzechę. W ten sam wytrawny i świeży sposób popularyzował Szopena, Mickiewicza i Słowackiego. Pomysłowość jego w kształtowaniu nowych audycji radjowych, mających pogłębić w szerokich

rzeszach słuchaczy radjowych miłość do polskiej kultury - była bujna i nigdy niewyczerpana.

Mimo tej ruchliwości i pracy, Hulewicz jakby w Warszawie przygasł. W chwilach szczerości zwierzał się, że nigdzie nie było mu tak dobrze jak w Wilnie. Ten syn ziemi wielkopolskiej tęsknił z całego serca do miasta Mickiewicza, które stało się mu nazawsze drogie i do którego powracał, jak do gniazda rodzinnego. Rozumiałem go dobrze. Kiedy bowiem swego czasu odwiedziłem go w Wilnie, oprowadzał mnie po ulicach z ujmującym entuzjazmem. Znał każdy zakątek i każdy załom lepiej niż niejeden Wilnianin. Ze słów jego szedł naiwny i zarazem czarujący zachwyt najczystszej pod słońcem miłości do rodzinnych murów przeszłości.

Mieszkałem u niego na Pohulance. Był to mały domek, przypominający dworek wiejski. W salonie, zastawionym staremi meblami matki, główne miejsce zajmował lśniący fortepian. Niski, typowo wiejski pułap pokoju, stłumione światła, zczerniałe obrazy na ścianach i śnieżne księżycowe pole za oknem - to wszystko wytwarzało nastrój, w którym człowiek czuł się tak dobrze i tak przedziwnie cicho. Drobna, pochylona, siwa staruszka grała sonatę Beethovena. W jej czystych oczach była zaduma. Raz poraz spojrzała na swego zasłuchanego dużego syna, a wtedy w jej spojrzeniu zamigotał uśmiech, uśmiech dumy i kochania.

Dziś trudno mi myśleć, jakie są te zmęczone, czyste oczy...

Zenon Kosidowski

P i o s e n k a.

Któregoś wieczora z dwiema Polkami, które jak ja kochały Paryż, wybraliśmy się do jednego z lokali, gdzie od paru tygodni śpiewa nowa gwiazda piosenki Claude Alphand. Przyszliśmy akurat na parę minut przed występem, który pan od mikrofonu zaanonsował "Claude Alphand", nie dodając nic do nazwiska, będącego od paru tygodni samo dla siebie reklamą. Światło z reflektora oświeciło miejsce przy fortepianie, przy którym stanęła szczupła osoba o złoto-popielatych włosach, upiętych według mody 1900 roku, ubrana w białą suknię, wystylizowaną na tą samą epokę; jeden uśmiech pełen nietylko pewnego siebie panowania nad salą ale zarazem jakby uśmiech ze świata innego niż ta sala, niż nasz czas, niż jesteśmy teraz my wszyscy i po chwili płynie lekko, swobodnie, z największą sztuką, która zdaje się być brakiem sztuki piosenka, pomimo wszystkich wyszukanych harmonji jazzu i cudownych zmysłowych zawodzeń meksykańskich i brazylijskich jedyna na świecie piosenka francuska.

Znam ten głos czysty, to jasne słowo, pamiętam tą panią, która z taką swobodą i godnością zdecydowała się zarabiać na życie, zabiegając o poklask restauracyjnej sali, pamiętam ją płynącą w obłoku najwyższej elegancji Paryża - "ou sont les neiges d'antan?". Claude Alphand, jak się mówi dzisiaj w Nowym Jorku, Madame Hervé Alphand, jak się mówiło trzy lata temu w Paryżu - jest synową Ambasadora Francji, żoną młodego urzędnika francuskiego, który zrobił szybką i świetną karjerę, dochodząc wcześnie do jednego z najwyższych stanowisk w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. W tym czasie młodzi państwo Alphand byli parą szczególnie lubianą we francuskim towarzystwie: nie było wielkiego światowego obiadu, balu w Ambasadzie, intelektualnego, poufnego wieczoru, na który by ich nie proszono, często w nadziei, że gdy tłum gości odpłynie i zostaną sami swoi - Hervé Alphand będzie naśladował Barthou lub Sachę Guitry, a pani Alphand zaśpiewa.

W parę miesięcy wszystko się zmienia. Hervé Alphand objąwszy urząd radcy handlowego w Waszyngtonie szybko opuszcza swe stanowisko, i

jedzie pod rozkazy gen. de Gaulle'a do Londynu, gdzie obecnie jest czemś w rodzaju wice-ministra spraw gospodarczych; kiedy rzucał służbę trzeba było pomyśleć o przyszłości i pani Alphand zdecydowała się wyzyskać swój talent znany dotąd tylko jej przyjaciołom w Paryżu.

Na tle zaciemnionej sali jej oświetlona szczupła sylwetka rysuje się tak własnym konturem, że ona sama i wszystko co śpiewa, staje się jakby jednym obrazem żywym i dźwięcznym, jak przekazana nam przez sentyment starych Paryżan dawna, szczupła sylwetka Ivette Guilbert w legendarnych czarnych rękawiczkach; każda piosenka niemal jest inna, z innej epoki, innego stylu, śpiewana z nieomylnym poczuciem tej odrębności - a jednak wszystko łączy się w jakiś świat zupełny, godzi w jakąś całość; zdaje się że to nie różne piosenki, ale jakaś jedna pełna czaru, uśmiechu i łez opowieść, w której zaklęte jest i nasze utracone życie.

Ten świat zamknął się przed nami kiedyśmy sami zamknęli na dnie serca zarówno naszą miłość do Francji jak i owo uczucie jakże bliskie nienawiści, którem napełnił nas jej niesławny upadek; wszystko, co nam przypominało urok Paryża, czar francuskiego życia zdawało się nam mówić o słabości, grozić lenistwem ducha, budziło w nas ból tak dotkliwy, że poczęliśmy myśleć o świecie, tak sobie wyobrażać jego przyszłość jakby w niej mogło nie być tego czaru, rozmarzenia, tej myśli przychylnej, jakby w niej mogło nie być Francji.

I oto teraz, słuchając pani Alphand, to głupie! ale tak jest w istocie, równie silnie jak kiedym czytał parę dni temu "Mizantropa" Moljera - poczułem nagle że ów kraj uśmiechu pełnego rozumu i uczucia tak samo przytomny w arcydziełach Moljera i w piosence paryskiego przedmieścia, nie daje się odłączyć od obrazu tego lepszego świata, o którym wciąż się mówi, nie bardzo myśląc co on znaczy, że świat, przeciwko któremu walczymy jest to właśnie świat bez uśmiechu, czułości, pobłażania i dlatego jest taki okropny.

Pani Alphand bierze do ręki gitarę i akompanjując sobie sama śpiewa teraz piosenkę Offenbacha "Les charboniers et les fariniers" która cała jest owym uśmiechem do życia, cała radością z istnienia; później znów odkłada gitarę i teraz płynie stary walc nie prababek ale naszych matek, walc, który słyszeliśmy tyle razy, kiedyśmy byli dziećmi -"Revier Jestem pewny że pani Alphand przeżywa, śpiewając ten walc naiwny wszystko co się stało odkąd śpiewała go raz ostatni swoim przyjaciołom w Paryżu, bo każde słowo jakże banalne zdaje się drgać od tłumionej tęsknoty, fraza napozór pospolita staje się w jej ustach melodją czystą i głęboką, piosenka staje się niemal pieśnią o podziemnym, tajemnym nurcie i jakże bezradna i nieważna wobec okrucieństwa naszych czasów, zdaje się brać w obronę to wszystko, co tak surowo sądzimy jako słabość a bez czego żyć jest tak trudno.

Wzruszenie, którego doznaję jest to nagła i głęboka tęsknota, wzbudzona przez niezwykły narkotyk; rzeczywistość, na którą nikt nie pytał mnie o zgodę odpływa jak coś obcego, nieważnego i właściwie bez sensu, dziesięć lat spędzonych w Paryżu, minionych bezpowrotnie, których wspomnienie zdusił ból haniebnego rozstania, wracają do mnie żywe, czyste, przez ową hańbę nietknięte, pełne zapachów z ogrodu luxemburskiego, zamglone cudowną mgłą z nad Sekwany; mam uczucie, że ktoś bardzo drogi wyciąga do mnie rękę poprzez mgłę nie do przedarcia, za którą świat piękny, czuły i rozumny trwa wciąż i czeka zmartwychwstania; zdaje mi się że za chwilę sam wyciągnę obie ręce ku przestrzeni, która niesie mi pozdrowienie owego świata na drżących, prostych nutach piosenki.

Jan Lechoń

T i m e b o m b .

/W dzisiejszym numerze Tyg.Przegl.Lit.rozpoczynamy drukowanie powieści/
/Antoniego Cwojdzińskiego pod tyt.:"Time bomb"./

Rozdział 1.

Przeraźliwy gwizd bomby przerwał pracę przy stole operacyjnym. Zaczął się on, podobnie jak tyle innych tej straszliwej nocy, tonem cichym i prawie spokojnym, ale w jednej chwili przybrał na sile niespodziewanie i przeszedł w jakiś dźwięk graniczący z piskiem i rykiem, który przeszył wszystkich. W promieniu tysiąca metrów wszystko zamarło. Strażacy odskoczyli od sikawek, pionierzy - od rozkopywanych gruzów, sanitarjuszo - od noszów z rannymi, wszystko co żyło przypadło do ziemi.

Na sali operacyjnej nikt nie padł na ziemię. Bomba szła prosto na szpital i tutaj pęd jej przekroczył granice rzeczy budzących strach. Jedyną reakcją były ruchy zamarłe w pół drogi, wstrzymane oddechy i nieprzytomnie otwarte oczy.

-Taki pęd paraliżuje instynkt samoobrony -przemknęło przez myśl doktorowi. On jeden znalazł w sobie tyle opanowania, że cofnął rękę z lancetem od pacjenta.

-Na ziemię! -zdążył jeszcze zawołać, ale nikt nie zdążył już upaść Nastąpił wybuch.

Właściwie nie był to nawet huk. Raczej jakieś bolesne rozdarcie powietrza. A rozdarte powietrze darło znowu wszystko co znalazło się na jego drodze. Drzewa, domy, ludzi.

Ziemia uderzona bezlitośnie drgnęła nerwowo, a potem przez długą chwilę ciężko kołysała się tam i z powrotem, Z nią razem falowały ściany sufit, podłoga, stół operacyjny i ludzie.

Poczucie stałości gruntu pod nogami jest bardzo silnie zakorzenione w człowieku. Siła która jest w stanie zachwiać ziemią, tym jedynym stałym punktem oparcia człowieka, wywołuje coś w rodzaju oszołomienia. Traci się na chwilę ciągłość myśli i świadomość upływającego czasu.

Doktór nagle stwierdził, że klęczał na ziemi. Jedną ręką opierał się o podłogę, a drugą z lancetem trzymał wysoko nad głową. Stwierdził też, że w pierwszej chwili nie wiedział, co się stało. Był świadomy tego że jest w Coventry, które przeżywało swój straszny chrzest ognia, pamiętał, że wśród ciągłych gwizdów bomb, detonacji i szumu palącego się śródmieścia zajeżdżały do jego szpitala transporty rannych, że pracował bez przerwy od dziewięciu godzin i tak samo padali już ze zmęczenia wszyscy gdy znosili magazyny do piwnicy, dźwigali rannych z piętra na korytarze parteru i po dachach gasili bomby zapalające - ale co się stało potem, nie wiedział. Nagle przypomniał sobie ostatni gwizd bomby i stwierdził, że wybuchu już nie usłyszał. Nie obaliła go jednak siła eksplozji, bo nie był potłuczony.

-Widocznie lekki szok -pomyślał.

Brzęk lecących gdzieś szyb przywrócił wszystkim świadomość. Teraz dopiero zauważyli, że zgasło światło. Nasłuchiwali przez chwilę, czy nie walą się mury z charakterystycznym po wybuchu grzmotem, ale było cicho. Nie było słychać nawet monotonnego jęku niemieckich samolotów.

-Wszyscy żyjemy?- zapytał doktór z właściwym sobie poczuciem humoru. Odpowiedział mu nerwowy śmiech pielęgniarek, również podnoszących się z ziemi.

-Trzeba zobaczyć, czy po tamtej stronie szpitala...-zaczął doktór ale w drzwiach stanęła zdyszana nurse.

-Przerwało linję, panie profesorze, i światło zgasło wszędzie... W całym szpitalu...

-A gdzie padła?

-W ogrodzie, dzięki Bogu, ale tuż-tuż koło nas. Zerwało nam kawał

dachu i wszystkie szyby z tamtej strony poszły...Razem z okiennicami.

-Na pacjentów?

-Nie. Weber kazał układać ich daleko od okien.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Więc właściwie nic się nie stało - po za przerwą w pracy. Przez chwilę jednak stali bezradnie,nie wiedząc co robić.

-Operację trzeba jakoś skończyć -zwrócił się doktór do pielęgniarek, trochę zawstydzony, że na chwilę zapomniał o pacjencie.-Gdzie jest Weber? Nie wie pani?

-Ciągle biega...To na dach, to do magazynu...Teraz poleciał do ogrodu, bo powyrywało drzewa, a on je zawsze tak doglądał. Ale ludzi tam, zdaje się, nie było.

-Musi pani znaleźć go. Może światło zapasowe nieuszkodzone. A my tymczasem spróbujemy przy latarkach.- Pielęgniarki zapaliły ręczne lampk

-Nie na mnie- uśmiechnął się doktór.-Na pacjenta proszę świecić.

-Przepraszam- szepnęła jedna.-Jeszcze trudno mi przyjść do siebie

-Ale przyjemnie, kiedy jedną nogą było się już po tamtej stronie- odpowiedział wesoło, bo widział że biedaczka z trudem panuje nad drżącymi rękami. Teraz dopiero przyszło mu na myśl, że o mały włos - a nie wróciłby już do pracy w tym szpitalu. O mały włos - a jego piękna suka Lady Fair napróżno czekałaby z nutami w pysku na jego powrót do domu, bo nigdyby już nie zasiadł do swojego fortepianu. Uśmiechnął się na myśl, że jednak wrócił do pracy i wróci do Lady Fair i fortepianu.

-Ale że pan profesor taki spokojny - szepnęła z podziwem druga pielęgniarka. Pochlebiło mu to, choć czuł, że jest to spokój maski,przemocą nałożonej na twarz. Ale skąd mu się wzięła ta maska? Przecie zawsze twierdził, że nie ma w sobie nic z romantycznego bohatera. Zawsze unikał sytuacji, w których jego wyższość intelektualna musiałaby zmierzyć się z brutalną siłą. Dlatego właśnie unikał i szczęśliwie uniknął małżeństwa -często żartował. I teraz w zetknięciu z najbardziej brutalną siłą,jaka istnieje, okazało się, że ma w rezerwie jakąś maskę, że jest człowiekiem wyjątkowo opanowanym. Bo istotnie, jeżeli o co bał się, to o drugą połowę szpitala, gdzie pracował jego asystent doktór Herbert Allen. Ale sam doktór Allen, jako psycholog, sprzeciwiłby się nazywaniu strachem takiej obawy o drugiego. Trudno też uważać za strach lekko wzmożone tętno i małe drżenie w kolanach, które jeszcze odczuwa. Albo to, że oczy uciekają mu w nieskończoność, gdy myśl niepotrzebnie wraca do przeżytego wstrząsu To przecie objawy zupełnie normalne w jego wieku. Zresztą, kiedy nachylił się nad pacjentem, i te objawy zniknęły. Profesor poczuł, że miejsce maski zajmuje prawdziwy spokój człowieka zajętego pracą.

Nie myślał, że kiedykolwiek przyjdzie mu pracować w takich warunkach - nie było łatwą rzeczą złapać nerw przy bladym świetle latarek - a mimo to poczuł dziwne zadowolenie. Pracował i praca w jego szpitalu,w którym od dwudziestu lat był dyrektorem, szła dalej. Pielęgniarce też udzielił się jego spokój i znikło drżenie rąk, gdy podawała mu instrumenty, sanitarjusze przydzieleni do straży ogniowej wrócili na dyżur w ogródku, dzielącym szpital od uliczki. Weber poszedł na drugą stronę opłakiwać połamane drzewa. Doktór poczuł nagle, nie bez pewnego zażenowania, gorącą miłość do swego szpitalika. Stara to już rudera -to prawda i prości ci sanitarjusze, i nie zbyt mądre te pielęgniarki, i zgoła głapia ta biedna nurse, która musi szukać Webera na dworze, choć znowu zaczęły gwizdać bomby - ale wszyscy oni byli teraz jacyś bliscy. Blizsi niż przedtem. Właściwie są oni wszyscy - przyszło mu po raz pierwszy w życiu na myśl - są oni, po za różnicami wykształcenia, tym samym co on, profesor doktór Arthur Butler. Są oni wszyscy razem starą Anglją./d.c.n/

Antoni Cwojdziński

"Być albo nie być" i piękna Carole Lombard.

/Zmarła tragicznie znakomita artystka Carole Lombard ukończyła przed sa/ /mą śmiercią pracę w nowym filmie "Być albo nie być", reżyserowanym / /przez Ernesta Lubitscha. Tematem tego filmu jest walka podziemna w oku/ /powanej przez Niemców Polsce. Dlatego Lubitsch wezwał do współpracy Ry/ szarda Ordyńskiego, który nadesłał nam wspomnienie o tragicznie zmarłej/ /artystce./

-Miło mi panią poznać i cieszę się, że to pani ma być dzielną i pełną poświęcenia Polką w naszym filmie - takie było moje przywitanie z piękną Carole Lombard.

Uśmiechnęła się uroczo i nie bez wzruszenia odpowiedziała:

-Jestem szczęśliwa i dumna, że mnie Polska raczy na krótki choćby okres zaadoptować. Wiem dobrze o niesłychanem cierpieniu, które z takiem bohaterstwem znosi dumny naród polski i znana mi jest również wspaniała rola, którą w tej ciężkiej tragedji odgrywa k o b i e t a p o l s k a.

Do tego tematu powracaliśmy kilkakrotnie podczas nakręcania filmu. Carole - bo tak ją wszyscy nazywaliśmy - często przychodziła do studja w wolnych od zdjęć dniach, bo brała żywy udział w robocie całego filmu. Patrzyła z zainteresowaniem na Warszawę uśmiechniętą z sierpnia 1939 na ożywiony ruch uliczny, a potem na - smutną zimę okupowanej stolicy Polski. Interesowała się różnymi szczegółami naszego życia publicznego, ciekawiły ją moje informacje o teatrach i świecie aktorskim Warszawy.

Zadanie jej pracy było ułatwione przez genjalną reżyserję Lubitscha, który jak może nikt inny umie wprowadzać aktora w nastrój danej sceny, komicznej czy dramatycznej. Lubitsch powracał niejednokrotnie podczas zdjęć do wspomnień ze swego pobytu w Warszawie, na kilka lat przed wojną. Carole nie miała dość słów podziwu dla reżyserji Lubitscha, którego jedno słowo nieraz dawało jej właściwy ton i wyraz nakręcanej sceny.

Natura jej była wesoła, radosna i pogodna. Była najdoskonalszym wyrazem tego, co w angielskim języku teatralnym nazywa się "a fine trooper", a w naszym odpowiada pojęciu doskonałego kolegi i współpracownika. Wchodząc do studja ożywiała nas wszystkich swoją wesołością i serdecznością, to też wszyscy od najmniejszego pracownika technicznego do samej góry radowali się na jej widok.

Humor rozumiała i była świetnym jego eksponentem, a zarazem posiadała tego humoru bardzo rozległą skalę. Pod tym względem ta trójka: Lubitsch, Lombard i Benny składali dowody niesłychanego zgrania ze sobą. Wyrazy Lubitscha chwytane zręcznie przez tych artystów były sygnałem do kaskad wesołości, które mogły już w następnej scenie ustępować miejsca jakiejś groźnej i pełnej napięcia scenie dramatycznej.

Bo właśnie w tej lotności leży siła talentu Lubitscha a na tej zmienności tonu i najbardziej przekornem splataniu ludzkich uczuć polega doskonałość tego filmu. Z zawrotną szybkością następujących po sobie faktów, wśród niezwykłych zderzeń ludzi i zjawisk, najnowszy film Lubitscha ten film p o l s k i, przeskakuje od przypadkowości akcji aż do najwyższych wyżyn bohaterstwa. Bohaterstwo Polaków w tym filmie nie jest planowane ani podparte wzniosłemi tyradami, bo się stało ich chlebem codziennym. Jest ono wywołane siłą przypadku, jak wszystko inne w tym obrazie okupowanej Polski, jest jednak szczere i niezawodne, stale na krawędzi największego niebezpieczeństwa działających osób.

Carole Lombard w tej niezwykle interesującej przygodzie portretuje znakomitą młodą aktorkę jednego z teatrów warszawskich, która przypadkowo schwytana w szpony gładkiego i układnego szpiega, z pomocą swojego talentu aktorskiego doskonale odgrywa rolę kobiety ulegającej jego czarom. W ten sposób wydobywa ona ścisłą tajemnicę jego zamysłów, pomaga do usidłania go w matnię i ostatecznego unieszkodliwienia.

Polacy w tym filmie nie stroją się w żadne piórka frazesów, wszyscy natomiast posiadają niesłychaną pomysłowość i szybką orjentację w omamieniu działających na terenie Warszawy gestapowców i błyskawiczną zdolność w obejmowaniu każdej sytuacji. Naczelną i kierowniczą siłą ich charakteru jest jednak niewzruszalna zdolność do poświęceń, gdzie głowy ludzkie co sekunda mogą być zdmuchnięte jak pył z listka.

Praca przy tym filmie była istotnie przyjemnością. Znawcy Hollywoodu twierdzą, że dawno nie pamiętają tak idealnej zgodności i takiego żywego zainteresowania wszystkich aktorów i techników.

W tej doskonałej współpracy Carole Lombard odegrała niepoślednią rolę. Posiadała przytem niezwykłą siłę skupienia, tak że przeskakiwanie z wesołości i dowcipkowania w najbardziej poważne sceny było u niej zdumiewająco szybkie. Dziś z krótkiego jeszcze oddalenia od jej wybuchów śmiechu do tej gwałtownej i tragicznej śmierci, spojrzenie na ogniste litery umieszczone nad wejściem do kina dziwne myśli będzie kojarzyć. Niesłychanie wymownym dziś właśnie wydaje się ten tytuł: "Być albo nie być?" Oprócz Hamletowskiego zadumania wyraża się w nim jeszcze i ta komiczno-tragiczna gra wypadków w filmie i życiu, tak dziwnie z sobą spleciona.

Ale Carole Lombard, jako aktorka, nie pozwala zapominać, że jej ideałem było dawać ludziom pogodę i wesołość, darzyć ich wytchnieniem po troskach dnia codziennego. Kazała nam się śmiać i mieć nadzieję, i taki jest jej niespisany testament artystyczny, tem bardziej ważny i godzien wykonania, że jako artystka umiała ona silnie wyrażać i to inne, stroskane oblicze kochającej swój kraj kobiety.

Więc sięgając do innego Szekspira, słuchamy jakby na nowo ubawieni słowami aktorów z "Snu nocy letniej":

"Wesoło i tragicznie! Przydługo i krótko?
To jak lód gorący i dziwnie rzadki śnieg!...
Jakże tu pogodzić tej niezgodności bieg?"

Hollywood, w styczniu 1942.

Ryszard Ordyński